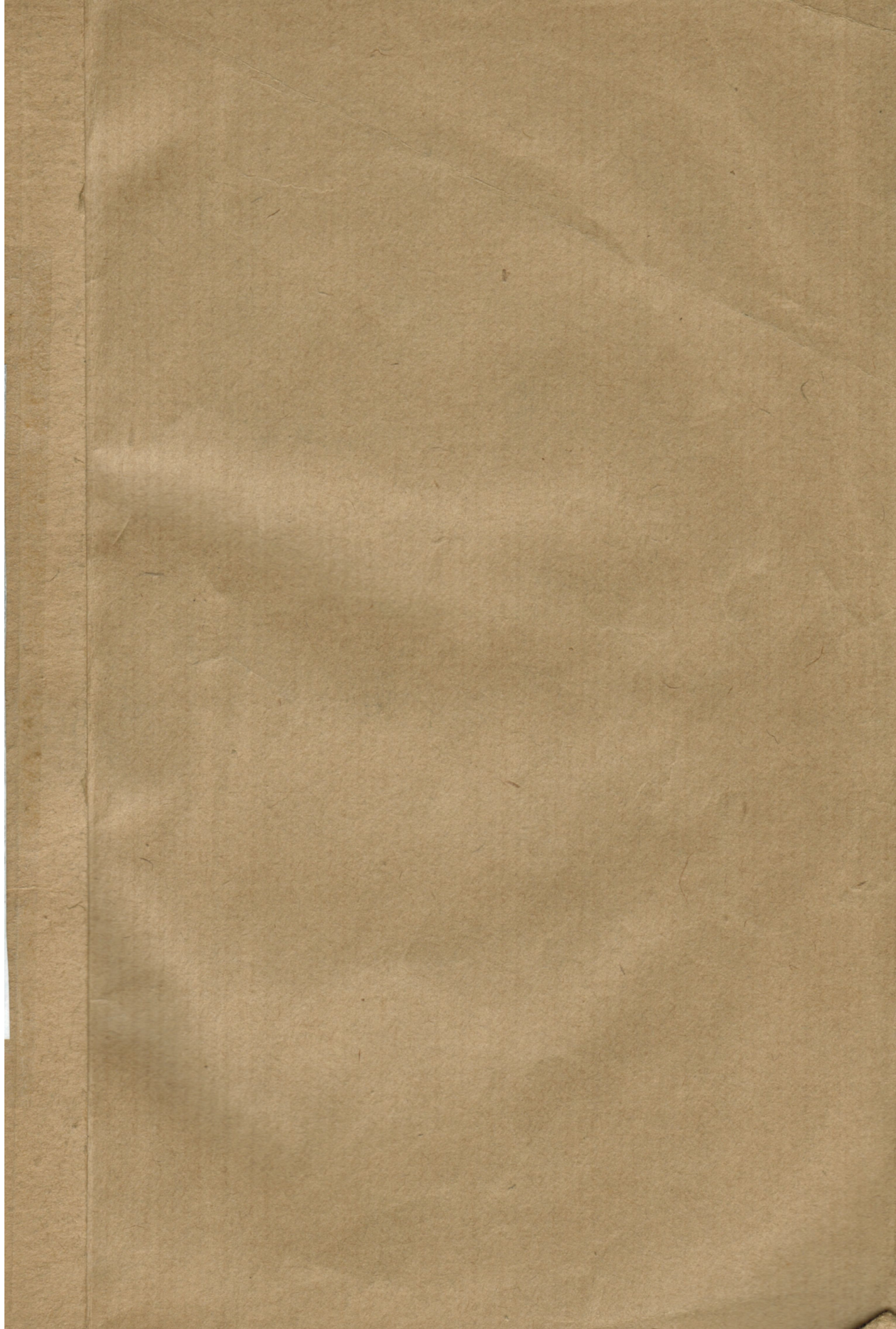




J. 60

ADAM MICKIEWICZ

Wspomnienie pozgonne

PRZEZ

Lucyana Siemieńskiego.

KRAKÓW

1856.

K. W. Siemieński

NOVEMBER 1887

NOVEMBER

Handwritten signature

ADAM MICKIEWICZ.

ADAM WICKIE WICK.

ADAM MICKIEWICZ

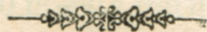
WSPOMNIENIE POZCONNE

PRZEZ

Lucyana Siemieńskiego.

Quis desiderio sit pudor aut modus
Tam cari capitis?

Hor. Car. XXIV.



KRAKÓW

1856.

ADAM MICKIEWICZ

WSPOMNIENIE POZOSTAŁE

WYKŁADY

Leona Siemickiego.

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione.
Tę część wydał
Wł. C. Żytkowski.

Nakładem i czcienkami Drukarni „Czasu“ w Krakowie.

KRAKÓW

1876.

Multis ille bonis flebilis occidit.

Hor.

Jakżeż bolesne uczucie ogarnia i najzimniejsze serca, na wieść o śmierci człowieka będącego najwyższym wyrazem swojego wieku i narodu! Trudno hamować się w żalu na widok gasnącego życia, jeszcze jakiego życia! na widok znikającego geniuszu, jeszcze jakiego geniuszu!

Wiemy, jak rzadko bogaty duch dojrzewa tutaj i przebiega całe koło swego zawodu. Nieraz długie potrzeba czekać wieki, żeby wynagrodzić sobie tę chwilę, w której uprzywilejowana istota opuściła ziemię.

Nasze dni były świadkami tylu strat niepowetowanych; śmierć ledwo nie rokrocznie uderzała w samo czoło szeregów. Któż tych zastąpi co padli? kto tych, co jeszcze zostali?

Śród naszych zajęć często tak drobiazgowych, gonitw i szamotań się bez celu, nadziei budowanych na niczém, a ztąd rozczarowań i zwrotów ku tak zwanéj praktyce życia, przyciętėj do bardzo poziomej, skali — wiadano, że był jakiś mąż wielkiego serca i ducha, znający wszystkie drogi do uczuć, umiejący niemi wstrząsać, a z okiem wlepioném w wyższe sfery, z których wykradał boskie natchnienie, śpiewający dla ludzi dobrej woli:

....prawdę świętėj wiary:

Że miłość rządzi plemieniem człowieczém,

Że trofeami świata są: ofiary. —

Oddalonego wieszczą znali wszyscy: i swoi i obcy, jak gwiazdę zawsze świecącą w jedném miejscu. Kiedy więc smutna wieść doszła ze wschodu: Gwiazda nasza zgasła! *Mickiewicz umarł!* — zrobiła się jakby wielka próżnia w téj trzywiekowej literaturze, którój on był i najwyższym spadkobiorcą i zaszczepcą przyszłości. Każdy czuł instynktowie, że coś stracił, choćby to, czego się jeszcze spodziewał; bo czyż niewołano ustawnie: Pieśni, pieśni, daj mistrzu!

Co mąż ten dokonał w swoim wieszczym zawodzie, co mógł dokonać, jak sięgnął daleko wpływem, jakie kierunki stworzył, jaki świat wychował? będzie to zapewne przedmiotem szerokich badań i wywodów. Tego rodzaju bogacze dostarczają zazwyczaj strawy całemu pokoleniu, które ich przed sąd swój na podziw lub potępienie pozywa.

Niniejsza wzmianka kreślona pod wpływem świeżej jeszcze wieści, jest krótkim raczej wspomnieniem, drobnym kwiatkiem złożonym na téj mogile, co obrała sobie najpiękniejsze miejsce na świecie, bo tam, gdzie tracki Orfeusz pieśnią ożywiający kamienie, zbudził Geniusza Grecyi, i gdzie tenże sam Geniusz pod stopą najeźdźcy — skonał.

Wielkiemu w całym życiu, wielkość towarzyszy i w zgonie.

ADAM MICKIEWICZ.

....Signor dell'altissimo canto,
Che sovra gli altri, com'aquila vola.

Dante. Parad.

Adam Mickiewicz urodził się w samą wilię Bożego Narodzenia 1798 roku — a więc na schyłku tego wieku, którego przedłużonemu u nas wpływowi miał najsilniejszy kiedyś cios zadać. Rodzice jego dziedziczyli małą własność w okolicy Nowogródka na Litwie, gdzie poeta nasz na świat przyszedł. Dom Mickiewiczów stary i rozrodzony na Litwie, acz skoligacon z książęcami rody — podupadł — a raczej zszedł do tego stanu uczciwój mierności szlacheckiej, w którym łatwiej było o cnoty domowe i publiczne, niż o ton górny i

fortunę. Rodzice jego mieli czterech synów: Adam był najmilszém ich dzieckiem; drugi Aleksander biegły prawnik, zaszczytne dotąd zajmuje miejsce na katedrze uniwersytetu Charkowskiego; trzeci najstarszy dla klectwa siedział przy rodzicach, lecz opuściwszy Litwę dzielił z tyłą innymi zmienne życia koleje; czwarty lekarz wojskowy, zginął w kampanii tureckiej. Matka tych synów, którą Adam nad wszystko kochał, miała być niepospolitą kobietą; ojciec podobnoś prawnik, a przytém obeznany z naszymi Zygmuntowskimi pisarzami, czytywał rytmy Jana Kochanowskiego i sam rymy składał, co wcześniej oddziaływało na umysł i serce ciekawego Adama. To też pierwsze zarody wychowania pod rodzicielskiém okiem, musiały być całkiem w duchu dawnego surowego a prostego obyczaju; bo przez cokolwiek później przechodził, jakiekolwiek otaczało go towarzystwo, zawsze tam na dnie, mimo głuszących zdań i nowostek réj wodzącego świata — odzywała się struna patryarchalnego rygoru i prostoty. Wyrafinowanych mędrków najczęściej pobijał zdrowym swoim rozsądkiem i témi prawdami, których niepotrzeba dobywać z książek, bo każdy znajdzie je w sobie, byle je umiał tam szukać.

Gdy wyszedł z lat dziecinnych, rodzice oddali go do bliskiej szkoły powiatowej w Nowogródku. Utrzymywali ją XX. Dominikanie, u których znalazł ten sam tryb wychowania co w domu, a nadto, wdrożenie się do pracy, gruntowne początki nauk, i tę gorącość religijnej wiary co się później w jego przelała pisma, i

co nieopuściła go nigdy, nawet kiedy się dawał unieść nauce niezbyt zgodnej z nauką kościoła. — Jak to zazwyczaj bywa, młody wiek okazuje często takie skłonności, jakim późniejszy zaprzecza; któżby powiedział, że nasz przyszły poeta okazywał wielki pociąg do chemii? W domu gdzie mieszkał, była apteka; z niej dostawał potrzebnych aparatów do swoich doświadczeń, które robił przed jego oczyma jeden z ojców Dominikanów wykładający naukę chemii. Mickiewicz długo zachowywał tę skłonność do nauk fizycznych i przyrodniczych, co się nawet odbiło w niektórych jego poezjach, szczególnie w wierszu do Doktora S. — Podobien w tém Goethemu, z tą różnicą, że w momentach kiedy rzecz publiczna wołała na niego o myśl lub współczucie; niepisał o Metempsychozie roślin, lub o kolorach.

Niedługo jednak trzeba było czekać, aby poetyczna odezwała się żyłka w Adamie. Jedno silniejsze wstrząśnienie stawia nas zwykle na właściwej drodze. Pożar wybuchnął w Nowogródku — niszczący żywioł wśród ciemnej nocy, samą okropnością piękny — zgiełk ratujących, płacz kobiet — i ta grupa smutnych pogorzalców siedząca na stosie niedopalonych szczątków, którą ranne słońce oświeca, tak pogodnie i spokojnie, jakby żadne nieprzeszło wtedy nieszczęście — wszystko to rozbudziło młodą fantazję, że musiała się wylać w wierszowany opis tego wypadku. Była to pierwsza próba; szkoda że nieznana, bo niewątpliwie dostarczyłaby ciekawych studiów nad iskierkami jenuśzu poetycznego w zapasach z nieznajomą mu sztuką.

Drugie silniejsze jeszcze wrażenie, o jakim często rad rozповідаł, odebrał podczas wkroczenia armii Napoleonskiej na Litwę w r. 1812. Sama natura na niebie i ziemi zdawała się objawiać przeczucie wielkiej jakiejś katastrofy gotującej się w świecie. W początku jedynastej pieśni Pana Tadeusza odmalował on tę przedburzę ogromnemi pociągami pędzla z tą tajemniczą prawdą, jaką tylko poeta odgadnąć jest w stanie. Pisząc ten poemat w dwadzieścia lat później pamięcią serca mógł znaleźć to wrażenie, jakim wrzała rozbudzona podówczas dusza chłopczyny; — była to wiosna i na świecie i we krwi — a takiej się niezapomina, mimo nawet piękniejszych wiosen pod niebem Italii.

„O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno kto cię widział jak byłaś kwitnąca.
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę piękna maro senna
.
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.“

Sam widok, a cóż dopiero zbliżenie się do tych żelaznych ludzi co zwycięskim krokiem mierzyli Europę od Tagu do Dźwiny, co urzeczywistniali najzuchwalsze marzenia o bohaterach epopei — musiało działać na młodą wyobraźnię jak świeże wonne powietrze majowe na chorym, który długą zimę przepędził w łóżku.

W domu jego rodziców stał kwaterą stary jakiś wiarus, rotmistrz, czysto obozowa figura, a napoleonista zagorzały, co gdzie trzeba i nie trzeba we wszystko mieszał ukochanego Cesarza i zawsze klął się i przysięgał „na imie wielkiego Napoleona.“

Ta ślepa wiara w jednego człowieka trzymającego w ręku losy narodów udzieliła się i chłopięciu; widmo wojennej sławy zaczęło go trapić na jawie i we śnie; a że w młodym wieku czyn tuż bieży za myślą, więc też podmówiwszy szkolnych kolegów, stawiał się przed jakimś dowódcą z żądaniem przyjęcia go wraz z innymi w szeregi. Trzynastoletni studencik, sił wątłych, małego wzrostu, wzbudził tylko uśmiech na wąsatą twarz starożytnego żołnierza; mimo tego przyjęty, jak się przyjmuje grosz wdowi, dźwigał karabin i znalazł się podobno w kilku potyczkach. Nie był to jego zawód; Opatrzność inny mu przeznaczyła, w którym nie miał mieć sobie równego.

Skończywszy prędzej kampanią, niż się skończyła, mógł ze spokojnej ławki szkolnej patrzeć na niedobitki wielkiej armii zagrzebywane i pędzone tumanami śniegu co z nimi grzebał wszystkie nadzieje wiosenne.

W r. 1815 siedemnastoletni młodzieniec udał się do Wilna, dokąd go daleki krewny, ksiądz Józef Mickiewicz exjezuity, kanonik żmudzki a wówczas dziekan wydziału filozoficzno - matematycznego powoływał. Mając zdać examin przygotowawczy przed wstąpieniem do fakultetu, oczekiwał w pobocznej sali na kolej, wraz z wielą innymi uczniami przybywającymi ze szkół wydziało-

wych. Przypadek zrządził, że się znalazł na ławce obok nieznanego mu młodzieńca, z obliczem wyrazistém i myślącym, z postawą dziwnie ujmującą i szlachetną. Niewytłómaczony pociąg uczuwszy ku sąsiadowi, wszczął z nim rozmowę, zabrał znajomość, i w kilka dni najściślejsza zgodność uczuć i myśli połączyła ich nierozzerwanym węzłem. Tylko wiek młody umie odkrywać i robić przyjaciół tak prędko, ale i na zawsze. Tym przyjacielem poety był Tomasz Zan, pamiętny w dziejach uniwersytetu wileńskiego, unieśmiertelniony w trzeciej części Dziadów, kiedy poeta wkłada mu w usta wiersz:

Mam obowiązek cierpieć za was przyjaciele: itd.

Mickiewicz rzucił się z zapalem do nauk uniwersyteckich: z razu obrał sobie za przedmiot umiejętności fizyczne i matematyczne, lecz niebawem uczuł się w nie-swoim żywiole wśród liczb i figur. Sława ówczesnych profesorów Gotfryda Grodeka i Leona Borowskiego, wykładających literaturę starożytną i nowożytną w sposób świeży i porywający, a nadewszystko z gruntowną erudycją, pociągnęła go ku sobie, tem łatwiej, że oczy otworzył na pociąg sobie wrodzony do utworów poezyi. Przeszedł więc w seminaryum nauczycielskiem z kursów matematycznych, na kurs filologii i literatury. Borowski, zasłużony krytyk i literat który umiał sobie otworzyć szerszą i wyższą sferę literatury, niż ta, jaką obrabiali koledzy jego niewychodzący po za obręb Boalów i Laharpów, wprowadził go w nowy

świat pojęć i kształtów jakich dostarczały inne literatury jak: włoska, niemiecka, angielska. Łącząc z tém gruntowne poznawanie arcydzieł starożytnych, a przede wszystkim Grecyi, kształcił się i bogacił temi skarbmami, w których miał potem narodowi zajaśnić całą potęgą twórczego jenuusu.

Wpływ ówczesnej Europy, a raczej wpływy takich mocarzów pióra jak: Walter-Skot, Byron, Goethe, Chateaubriand, Szleglowie, pani Staël, nieuznany a raczej niepoznany jeszcze u nas, omijał inne mniej szczęśliwe strony a dostawał się jedynie do Wilna, gdzie wspaniałomyślność cesarza Aleksandra złożywszy kuratoryę uniwersytetu w najzacniejsze ręce, pozwalała korzystać ze wszystkich nabytków i postępów oświaty i myśli zachodu, które długi czas przygłuszone hukiem dział, wyłamywać się zaczęły z pod panowania szabli. Szkoła tak zwana romantyczna, rozsadzwszy zastarzałe formy nieprzypadające do miary nowych uczuć i wyobrażeń, które niemogły znaleźć głosu wtenczas kiedy jeszcze inny głos wielki rozlegał się na polach bitew, zawichrzyła spokojniejsze pole literatury. Z średnich wieków wywołani zaklęciem paladyny, czarnoksiężniki, piękne damy, turnieje i trubadury kruszyli kopie swoje, z trzema jednościami klasycznej trajedyi, a okrzyk: w Imie krzyża i pani tajemnej myśli! głuzył zimną inwokacyę do pogańskiej muzy. Całej téj walce przysłuchiwał się chciwie nasz uczeń wileński; trafiała ona mu do ognistej duszy, rozprzestrzeniała granice fantazyi, budziła uczucie całkiem nowe, i zachęcała do starcia

się z temi formami i pojęciami, jakie kształcąc się na klasycznój drodze przyjął był, i już w sobie na wiarę mistrzów wyrobił. Zapewne to w ten czas jeszcze, pod wpływem klasycyzmu, napisał był krytyczną rozprawkę nad Jagiellonidą Tomaszewskiego, umieszczoną w pamiętniku warszawskim; już i w téj próbie przebijała ścisła znajomość starożytnych, sąd zdrowy, i pewien urok stylu rzadki nawet u tych, co wszystko na wygładzeniu okresów zasadzać lubili.

Z ukończeniem nauk uniwersyteckich, które odbył na funduszu rządowym, był zmuszonym przyjąć posadę profesora literatury polskiej i łacińskiej w Kownie. Było to w r. 1820, kiedy z końcem wakacyj przyjechał do tego miasta głośnego w dziejach Litwy i słynnego nadzwyczaj uroczą okolicą. Niewiadomo, czyli już wten czas zrodziło się było w sercu jego silne ogniste przywiązanie do Maryi Wereszczakownej, siostry jednego z przyjaciół szkolnych; daty wiedzieć nie można, bo takie uczucia przychodzą zwykle albo niewiedzieć kiedy, albo też są pokryte uroczystą tajemnicą, do której klucz mają tylko sami kochankowie; a trzeba wiedzieć, że Mickiewicz, podobnie jak poezyi swoich nie lubił pokazywać wpierw nim je ogłosił, tak jeszcze bardziej umiał się tać z uczuciem ogarniającym całą jego istotę. Każdej świętości, czy będzie miłością, czy poezją, najlepiej w tajemniczym półcieniu. Dorozumiewać się tylko można, że kiedy przybył do Kowna, dusza jego przeszła już przez wszystkie wstrząśnienia nieszczęśliwie kończącej się miłości; Maryla oddała rękę Putkamerowi

bogatemu obywatelowi z Lidzkiego — dramat serca odegrał ostatni akt — zasłona zapadła — pogaszno światła, a on z aktora stając się widzem, zaczął pisać na ciemnem tle rozpaczy ognistemi głoskami wzburzonej namiętności, całą tę spowiedź o Maryli, która miała go postawić obok Heloizy i Wertera.

Podobnie jak wielu innych poetów, tak i Adama nie-szczęśliwa miłość zrobiła poetą; nierozumiem tu jednak żeby i bez niej nie trafił był na tę żyłę; ale to pewna, że długo byłby niepoznanym gościem wśród swoich, gdyby nie silne zainteresowanie swoją osobą. O ile każdy podziwiał poetę, o tyle ciekawy był poznać młodzieńca, z bladym czołem i rozdartą piersią Gustawa....

Cudna kowieńska dolina tworzyła bogatą ramę w samotnych przechadzkach dumającego profesora. Koledzy i uczniowie brali go za dziwaka, albo za zakochanego; pierwszym niebył, bo każde słowo jego tchnęło wyższością umysłu, o drugim nikt nie wiedział — wszystkiego się domyślano, prócz że był wieszczem. Tymczasem w miejscach tych rozbudziło się w nim coraz silniejsze natchnienie, i przez ciąg dwuletni wylały się z jego piersi dźwięki tak czyste i porywające, że żaden prawie ze znanych poetów nierozpoczął tak swego występu na scenę. Jeżeli Tibur, Sorento, Wokluza żyją pamięcią piewców, tedy i dolina Kowieńska oddawna ochrzczoneą została *Doliną Mickiewicza*, bo czyż nie on rozsławił ją po świecie?

Widziałem piękną dolinę przy Kownie

Kiedy Rusałek dłoń wiosną i latem

Sciele murawę, krasnym dzierzga kwiatem

Jest to dolina najpiękniejsza w świecie!

W dwóchletniem prawie pełnieniu obowiązków nauczyciela literatury, urósł piękny zbiorek utworów poetycznych. Były to *Ballady* i *Romanse* — był bez początku i końca fantastyczny poemat *Dziady* — powieść z dziejów litewskich: *Grażyna* i dydaktyczne *Warca-by*. Pierwiosnki te wyszły w Wilnie w 2 tomikach w r. 1822 jedynie za naleganiem przyjaciół. Poeta stawając przed publicznością wiedział, że będzie sądzonym, lecz i to przeczuwał, znając ówczesny stan krytyki, że ten sąd wypadnie podług statutów innéj szkoły, niż téj, do której się przyznawał. Chcąc tedy postawić publiczność we właściwym punkcie widzenia, poprzedził swoje poezye krótkim, lecz pełnym treści rysem rozwijania się poezyi pod względem dziejowym i estetycznym.— Zjawienie się tych dwóch tomików było prawdziwą niespodzianką. Młodzież i kobiety z instynktowym zapalem pochłaniały te kreacye tak niepodobne do tych, jakimi je dotąd karmiono. W umysłach i sercach dokonywała się rewolucya potężniejsza niż wszystkie widziane za naszych dni. Falanga tak zwanych pseudo-klasyków jedna zaprotestowała przenicowując znaną inwokacyę Guślarza, na:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie

Głupio było, głupio będzie.

Sarkazmy w kołach obiadujących literatów i po dziennikach, drażniły tylko a nie tłumiły entuzjazm młodych zwolenników, którzy puszczając się torem mistrza zwy-

czajnie jak wszyscy naśladowcy, wpadli w romantyczną przesadę parodiującą najpiękniejsze i najoryginalniejsze zwroty śpiewaka Ballad, co dostarczało przeciwnemu obozowi dzielnej broni przeciw nowatorom. Walka tedy klasyków z romantykami przeniosła się do nas w najlepsze: było to tylko początkiem tego, co się gdzie indziej kończyło. Wszakże w sercach i umysłach wrażliwszych zaczęły fermentować nowe żywioły: w poezyi wypowiedziano posłuszeństwo powadze kodeksu Horacego, a ztąd zerwano i z tradycjami szkolnego klasycyzmu, zawiązując natomiast tradycję chrześcijańską właściwszą duchowi nowożytnemu, a zarazem zwracając uwagę na poezję gminną, która miała podsycić i ożywić wyczerpane już źródło natchnienia.

Lecz nie tylko w samej dziedzinie sztuki dokonywało się przeobrażenie: jakby dotknięte czarnoksiężką różdżką serca młode zaczęły się zbywać *spleśniałej kory*, kochać jak Gustaw, jak on sentymentalizować, i jak on podnosić kobietę postawioną zbyt nisko ironią materialnego i filozoficznego wieku, do ideału, w jakim jaśniała w epokach rycerskich. Każdy zwolennik romantycznej szkoły musiał mieć swoją Beatricę lub Laurę. Z tém się wiązał i wybitny zwrot do spirytualizmu, czyli połączenia świata widomego z niewidomym. W utworach Adama wszędzie przebijała wiara pełna dziecięcej prostoty, jakaś tęsknota za lepszym światem — bo też i niebyłoby poezyi natchnionej bez religijnego uczucia; tak po woni kadzideł odgadujesz nabożeństwo w świątyni. — Przykrzyła się już ludziom su-

chość serc i trzeźwość rozumów; dla tego kiedy się odezwał głos Iteńskiego wieszczą otwierający jakby dwa nowe światy, świat czucia i świat duchowy, a tém samém odpowiadający najdroższym potrzebom głębiej czujących ludzi—został pojęty przez tych, których on pojął, i poezya jego stała się, że użyję tego wyrazu inaczej, niż dziś bywa użyty — stała się *socyalną*.

Chcąc opowiedzieć jak się ten cały wewnętrzny proces odbył, jak się z jednego wywieżywało drugie, zasłilibymy dalej, niż krótkie to wspomnienie pozwala. Dość, że poezye Adama wprowadziły umysły w ruch i szła o jakim niesłyszały dzieje nasze, chyba żebyśmy chcieli szukać porównania do owój zażartej za Zygmunta polemiki sekciarzy z kościołem i między sobą, z tą różnicą, że tam zwycięstwo nie przy nowatorach zostało, i że w pisma ich chyba uczony szperacz zagląda.

Mickiewicz czy znudzony nauczycielstwem na małym miasteczku, czy wylęczony w samotności z ran zadanych przez miłość, czy ośmielony wrażeniem, jakie utwory jego zrobiły w świecie — opuścił Kowno i pojechał do Wilna; najpewniej, aby połączyć się z przyjaciółmi, do których tęsknił. Jakoż stanąwszy w tém kole, gdzie wszystkie serca były w jeden takt, gdzie go kochano, gdzie się dzielono każdą myślą i wszystkiém co kto miał, odpadła mu chęć do profesury. — Któryś z wielbicieli poety mający wpływ u księcia kuratora wyrobił to, że go zwolniono z obowiązkowych pięciu lat nauczycielstwa i pozwolono pozostać w Wilnie. Obecność

poety w litewskiej stolicy dodała życia i tak już ożywionemu kołu rówienników, które krom połączeń przyjaźni, łączyło się jeszcze pod godłami promienistych, filaretów i filomatów. Celem tych młodzieńczych skojarzeń, było najczystsze zamiłowanie i uprawa nauki, a oraz obowiązek dawania pomocy pieniężnej i naukowej ubogim studentom, pozbawionym funduszków i korrepetycyi.

Była to wtenczas chwila, kiedy rządy, zniecierpliwione wybrykami tak zwanych *Burschenschaftów* na uniwersytetach niemieckich, co zamiast myśleć o kształceniu się na pożytecznych obywateli kraju, przedwcześnie rzucali się w odmet rewolucyjnej polityki — zaczęły zwracać pilne oko na tego rodzaju związki między uczącą się młodzieżą. Promieniści i filareci wileńscy tworzący od lat kilku otwarcie i z wiedzą zwierzchności uniwersyteckiej, pewne uorganizowane ciało, musieli się na pierwsze skinienie, rozwiązać. Zapewne byłoby się na tém skończyło, bez szkodliwych następstw dla jednej i drugiej strony, gdyby nie źle pojęta gorliwość senatora Nowosielcowa zesłanego na śledztwo. Komu wiadomo co w Rosyi znaczy wyraz śledztwo, ten wie, że przy tém koniecznie, choćby je stworzyć przyszło, musi być lub przestępstwo lub zbrodnia. Koniec końców pomijając ten znany z historyi mistyczno - tajemniczy proces, Śpiewak Dziadów głośniejszy wtenczas imieniem poety, zwrócił na siebie uwagę i razem z wielą innymi poszedł pod śledztwo. Ciągnęło się to długo, wykryto kilka młodych głów zapalonych, kilka wierszyków, parę figli studenckich, ale choć nieznaleziono winy,

dla samego przykładu skazano kilkunastu na wywiezienie w głąb Rosyi — innych puszczono wolno.

W liczbie wydalonych znajdował się i Mickiewicz; lecz on jeden tylko miał szczęście dostać w lat kilka pozwolenie wyjazdu do Włoch, kiedy inni, jak Zan, Kowalewski, Daniłowicz itd. użyci przez rząd do naukowych celów, znaleźli odpowiednie zdolnościom swoim posady. Z tém wszystkiém bolesna to była chwila pożegnania i drogich miejsc i droższych jeszcze osób — może na zawsze.

Było to dnia 24 paźdz. 1824 — pamiętna data w życiu poety — kiedy jeden z dobrych przyjaciół, podobnoś Czeczot, przyniósł mu album swojej narzeczonej i prosił, aby się wpisał. Powózka z pocztowemi końmi czekała przed bramą, Mickiewicz był na wsiadaniu, oficer naglił — owóz między prośbą przyjaciela, a nagleniem, rzucił kilka wyrazów:

Nieznajomój, dalekiej, nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać
Dwa wyrazy: „Witam cię!“ „Bądź zdrowa na wieki.“

Byłóż to przecucie w tém pożegnaniu „na wieki“, że nigdy już nie miał Litwy zobaczyć? Niestety! wiešczy duch jego często czytający w odległej przyszłości i tym razem niepomylił się.

„Po śniegu, coraz ku dzikszėj krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie;

I oczy moje, jako dwa sokoły
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą
Porwane burzą, do lądu niezdążą,
A widząc obce pod sobą żywioly,
Niemają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,
W dół patrzą, czując że tam muszą zginąć...

Tak on zaczyna opis podróży swojej na północ — do Petersburga. Zawieziony do téj stolicy zostawał tam czas niedługi doznając ile się zdaje wiele wrażeń w towarzystwie światłych Rosyan — tam zapewne musiał zrobić i znajomość z Puszkinem, który tem był dla Rosyan, czem Adam dla swoich, z różnicą plemiennego ducha. — Pobyt ten pamiętny jest sławną *Odą*, którą napisał w płomiennem uniesieniu młodości — nigdy jeszcze z pod biegunów niewylał się taki potok lawy. Rozrywano ją sobie, a każdy co raz przeczytał umiał na pamięć. Wielkie kreacye mają zawsze ten przywilej. — Ponieważ Petersburg niebył mu przeznaczony na stałe mieszkanie, przeto po jakimś czasie odebrał rozkaz udać się do Odessy, gdzie został przydzielony do kancelaryi księcia Woroncowa. Pod bokiem tak światłego i uprzejmego zwierzchnika, w cieplejszym klimacie i w towarzystwie mieszkających tam rodaków weselej zapewne było naszemu poecie; znać to z niektórych piosnek więcej zalotnych jak namiętnych, które tam złożył. Momentalne może roztargnienie, kaprys i nic więcej — bo Sonety krymskie zebrane z doznanych wrażeń na czarującym półwyspie, brzękną nieraz stru-

ną tęsknoty tak głośną, że aż w odwiecznych borach nadniemeńskich odbrzmiewa. Dziwny też to kontrast tworzy ta nieutulona tęsknica podróżnika z tém morzem grającem jak oczy tygrysa, z tém niebem wschodniem lejącem potoki żywego złota na wystrzelone minarety, z tym śpiewem słowików Bajdaru, z temi fontannami, gdzie się pluskały odaliski Bakczyserajskich Chanów!— Fantazyjne krajobrazy, wonie sadów, śpiewy muezinów, stepy i morze, czarne oczy dziewczycy— to jakby złoto i lazury, purpura i rubiny, któremi potrząsa po myślach rysujących mu posępne lasy i trzęsawice Litwy i tych, co tam zostawił.

O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek
Co spi pośród złych losów i namiętnej burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

Śmiało można powiedzieć, że Krym, znany dotąd z kilku opisów mających może zasługę u jeografów, odkrył dopiero Mickiewicz, a to skrapiając go różanym olejkiem poezyi, tak mocno, że turyści z ciekawości dostawali zawrotu głowy. Niedziwiłbym się, gdyby jaki Sainte-Beuve zastanawiając się za lat dwieście nad Sonetami podniósł ich wpływ jeszcze wyżej i wykazał, że poeta umyślnie tak wyexaltował te cuda południowego wybrzeża, aby sprzymierzonych w lat trzydzieści złać komić na Sebastopol.

Sonety te wydał poeta w r. 1826 czy 27 w Moskwie, albowiem po odbytej przejazdce do Krymu, którą także

zawdzięczał uprzejmości księcia Woroncowa, kazano mu jechać do Petersburga, a z tamtąd może i dalej. Żał mu było opuszczać ciepłe słońce i Czarne morze, chociaż przypominało, bliskość tych miejsc, gdzie pokazują grób Owidiusza — bo też siła atrakcyi działała u obu w przeciwnym kierunku.

Na szczęście, przyjechawszy do Moskwy uczuł się mocno cierpiącym na piersi. Imię jego było już głośnie, były i listy polecające — więc w mgnieniu oka zajęto się młodym, a tak nieszczęśliwym poetą. Aniołem opiekunczym była kobieta - Rosyanka — księżna Zeneida Wołkońska. Ona to wyrobiła mu wolność pozostania w Moskwie, ona mu dom swój otwarła, ona wprowadziła w najpierwsze towarzystwa, ona czuła i tłómaczyła jego poezye, ona mu była ojczyzną, rodziną, wszystkim — bo nawet za jój wstawieniem się u monarchy otrzymał nieograniczony paszport do Niemiec, Włoch i Francyi, z zaszczytnym jeszcze dodatkiem przy opisie osoby: „sławny poeta polski.“

Niemogąc na pewne oznaczyć wszystkich dat mających styczność ze zmiennemi kolejami życia poety, tyle przynajmniej domyślam się iż rok 1825 i część 1826 spędził w Odessie, a następny w Moskwie, gdzie złożył prześliczny wiersz na *Pokój Grecki* księżny Zeneidy Wołkońskiej, gdzie wreszcie ogłosił *Sonety*, które jak bomba spadły na zdumionych krytyków warszawskich nieumiejących sobie zdać sprawy z tego zjawiska.

Jak wiadomo Rosya gotowała się wtenczas na kampanię turecką. Cesarz Mikołaj powołał wszystkich gu-

bernatorów do Petersburga, dla wydania potrzebnych rozporządzeń na czas wojny; między innymi i gubernatora Moskwy księcia Wołkońskiego, który poznawszy zdolności i piękną duszę Mickiewicza, umieścił go przy swoim boku i zabrał do stolicy, gdzie się poeta mógł pokazać w swobodniejszych stosunkach osłonięty tak wysoką protekcją. Otwarto mu najświetniejsze salony, wrywano sobie — a choć dusza wieszczę nie lgnęła do tych oznak często pozornych, przyjmowała wdzięcznie jako dowód gościnności i współczucia. Że go nie niemogło z raz obranej drogi sprowadzić, ani ściągnąć na ziemię dla marniej próżności, najlepszy dowód w *Konradzie Walenrodzie* napisanym i ogłoszonym w Petersburgu. Olbrzymia ta karta dziejów krzyżackich i Litwy, podobna lawinie stoczyła się aż na brzeg Wisły. Tym razem klasycy starej daty oniemieli — dźwięk rymów, czar stylu, świeżość obrazów i porównań, jedyne rzeczy które dotąd w kategorię ich sądów wchodziły, znalazły się tam w przeważnej sile, zaczęli więc kapitulować — pomysł sam, uderzający głębokością i ogromem, w duszach żywiej czujących, odgłos znajdował; a te podniosły tylko o wiele sążni ten parnas na jakim pierwszy wieszcz siedział. — Rzecz pewna, ideę tego poematu mógł tylko ten zrodzić, co się znajdował w samym ognisku miasta granitów — co widział z bliska pierwszą potęgę po Bogu; co się otarł o wszystkie sprężyny poruszające olbrzyma. Niektórzy krzyknęli, biorąc poezję jak martwą literę, że to myśl niechrześcijańska, nienaturalna duchowi słowiańskiemu! —

nieprzeczę — ale krótki wzrok ich niedostrzegł, że odrzuciwszy przybory epickie do jakich musiała się uciec poezya, że stosując do praktyki fikcyę średniowieczną — pokazałaby się na dnie prosta polityka do codziennego użytku: panować wyższością ducha nad materializmem zwierzęcym, światłem nad ciemnotą, prawdą nad kłamstwem. Leżało to w naturze rzeczy — jeniusz dostrzegł i objawił, a nie jego wina, że go niepojęto.

W roku 1828 wydał jeszcze dwa tomiki różnych poezyj już dawniejszych, już całkiem nieznanych; w liczbie ostatnich był *Farys*, prawdziwy liryczny uragan, uosobiony duch północnego wieszcza, uciekający na koniu swojej fantazyi ze śnieżnych stepowisk, w słońce i rozpalone piaski Sahary. Zbiorek ten poprzedził przedmową: *O krytykach i recenzentach warszawskich*, w której roztrząsał wszystko, co przeciw niemu pisano, i stosem własnych ich argumentów jednych śmieszniejszych nad drugie, przywalił biedne organa publicznej opinii. Zdawałoby się, że to powinno było wyleczyć na długo z tego rodzaju krytyk, co jak bodiaki czepiają się sukni przechodnia, a niema sposobu, chyba przez rękawiczki oczyszczać się z natrętnego zielska.

Zapewne w niejednym wspomnieniu przechowała się pamięć artykułu *Gazety Polskiej* warszawskiej z roku 1828, w którym ktoś z Petersburga opisuje przyjacielowi ową ucztę wyprawioną na imieniny Adama w wilię Bożego Narodzenia. Towarzystwo zebrało się podobno w domu hr. Henryka Rzewuskiego; były tam

same znakomości literackie i artystyczne. Gospodarz niewyczerpanym dowcipem ożywiał grono, Orłowski rysował jenialne szkice, jakiś wirtuoz grał na fortepianie, w końcu przyszła kolej na Mickiewicza, improwizować. Dano mu temat: Samuel Zborowski. Poeta zakreśla plan na rozmiar Szekspirowskiego dramatu, a wybierając sceny po scenach, najbardziej przemawiające, improwizuje. Cudna tam miała być scena, kiedy Zborowski pada przed Batorym na kolana i dziękuje mu za przebaczenie mordu popełnionego na Wapowskim — zapal tak daleko uniósł wieszczą, że siły fizyczne nie sprostały sile natchnienia — zemdlął.

Z téj improwizacyi zaledwo kilka wierszy ktoś potrafił spamiętać i wydrukował je w tym liście — dramat przepadł na wieki! Kilka pomniejszych jego improwizacyj dochowało się szczęśliwie; jaka naturalność, jaka w nich całość, jaki rzut jeden! Znać co improwizacya poety w natchnieniu, w prawdziwém natchnieniu spływającym jak łaska niebios w niewiadomój chwili, a co są improwizacye tworzone na zawołanie.... Za-
zwyczaj towarzystwo gorących przyjaciół, lub urok miejsc historycznych, obudzały w nim zdolność improwizatorską, lecz ażeby dłużej nieopuszczało go boskie natchnienie, potrzeba było podtrzymywać je muzyką, za którą przepadał, i wyżej stawiał nad samą poezję. Najulubieńszą jego melodyą wprowadzającą go w poetyczną extazę była nasza piosenka o Filonie i Laurze, i menuet z Don Juana. Można było wygrywać je po całych godzinach, i zawsze było mu nie dość jeszcze.

Wspomniałem już czyjemu wpływowi winien był wolność wyjazdu za granicę. Owóż w 1829 r. wsiadł na statek w Kronsztadzie, a wylądowawszy w Lubece zwiedził w towarzystwie Odyńca, Berlin, Drezno, wody karlsbadzkie, Pragę, a wracając znowu do Niemiec zatrzymał się najdłużej w Wejmarze gdzie się przedstawił Goethemu, który znał już niektóre jego poezye z przekładów. Jeżeli bystry wzrok olimpijskiego Jowisza Niemiec nieodgadł w nim największego wieszczą tych czasów, to niezawodnie powiedział mu grzeczność na jaką się tylko dworak nowych Aten mógł zdobyć, bo ofiarując mu *pióro złote*, dołożył: „Tyś jest najpierwszym dziś wieszczem europejskim — Goethe zstępuje już do grobu“ — Druga jeszcze owacya czekała Adama w Wejmarze: Sławny rzeźbiarz David d'Angers bawiący tam, zrobił jego medalion; podobieństwo rysów i wyrazu duszy najlepiej umiał schwycić rzeźbiarz francuski; podług tego wzoru sztychował go później Oleszczynski.

Z Weimaru, krajami nadreńskimi, dostał się poeta do Szwajcaryi. Tu jeszcze raz, na szczytach alpejskich, w Splügen, zatęsknił silniej za Marylą swojej młodości:

Nigdy więc nigdy z tobą rozstać się niemogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoją widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok wiecznemi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamgloném niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie;
Niewdzięczna! może dzisiaj królowa biesiady,
Ty w tancu rej prowadzisz wesołej gromady itd.

Tu następują gorzkie wyrzuty, tu obraz tego szczęścia, jakieby z nim mogła była dzielić zwiedzając te miejsca. — Była to ostatnia głośniejsza skarga kochanka wyrzucona ze szczytu Alp.

Pod piękném niebem Włoch, śród cudów starożytnéj i nowożytnéj sztuki, śród najdobrańskiego towarzystwa rodaków w Rzymie, humor poety wypogodniał, żmija tęsknoty rzadziej szarpała serce, czuł się tak swobodnym, jak nigdy. Zawsze to powtarzał; i widać był, jak wszystko go tu zajmowało, uczyło, podnosiło w duchu, szczególnie wielkie dzieje chrześcijaństwa zapisa-
ne w niepożytych pomnikach architektury, rzeźby, malarstwa, oraz tradycyj i legend tulących się do tych zabytków, jak gałązki powoju.

Żywo ogarniający umysł jego niepotrzebował grzebać w książkach i w archiwach — dość mu było widzieć, aby rozumieć zagadkę kamieni, i ludzi. Dla tego niezmordowanie zwiedzał wszystko, co było do widzenia na całym półwyspie, niepomijając Lombardyi, aż do jońskiego morza i Neapolu. Te wycieczki od-

bywał najczęściej w gronie osób, z którymi łączył go sympatyczny związek.

Szczęśliwym trafem, dającym się wytłumaczyć siłą atrakcyi, zjechało się wtenczas do Rzymu, jakby na hasło, piękne kółko, godne otaczać litewskiego wieszczą. Oprócz nierozdziel nego z nim Odyńca, był tam: Henryk Rzewuski, ksiądz Chołoniewski, Stefan Garczyński, był późniejszy autor Irydiona, wszystko głośne krajowe sławy; z obcych: ksiądz de La Mennais i Montalembert; — z kobiet: księżna Zeneida Wołkońska, prawdziwy geniusz opiekuńczy poety — i jeszcze jedna, która go zajęła więcej niż prosta znajomość — zajęcie to jednak, dla jakichś przeszkód, zmieniło się później w dozoną przyjaźń.

Jak samo zbliżenie się do Mickiewicza musiało silnie oddziaływać na umysły, jak otwierało oczy, jak ciągnęło w świat prawdy i wiary — przykład na Stefanie Garczyńskim. Kiedy się zetknęli ze sobą w Rzymie, Stefan, Poznańczyk, na wskrósł przesiąkły filozofią Hegłowską, utopiwszy w niej resztki wiary ojców wyniesionej z domu, przekonał się w końcu, że całe to systema niezgodne z duchem naszym, bo niezaspokaja jego potrzeb; porzucił więc to jałowe pole, a wszedł na grunt wdzięczniejszy. Mickiewicz sercem swoim rozgrzał w nim wiarę i rozbudził zdolność wrodzoną, a dotąd tak źle skierowaną. Garczyński stał się poetą znamienitym i napisał *Wacława dzieje*, które Mickiewicz w dziesiątek lat później, w odczytach swoich mianych w *Collège de france* podniósł nad wszystkie u-

twory polskich poetów. Zdaje się, że cztery wiersze zapowiadające *słowo wcielone* czyli przyjście człowieka

Który wśród głosów mylnych, wśród wrzasków tysiąca
Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie,
Wskoczy w rydwan wyroków i zajmie siedzenie,
I po czasie przejedzie jako przeznaczenie.

że te cztery wiersze kwadrujące z nauką *messyanizmu* wykładaną w ówczas przez profesora, zyskały mu ten niepożyty nagrobek, jakiego zgasłemu przyjacielowi niemógł wystawić w Awignonie *)

Możnaby więc naliczyć przykładów tego wpływu wywieranego na tych, co do naszego wieszczą przychodzili nie z zarozumieniem i arsenałem rogatych argumentów, ale z miłością i chęcią szukania prawdy. Że tu nieda się nie złożyć na karb narodowego entuzjazmu, dowód w światłych cudzoziemcach szukających jego znajomości, poddających się nieraz jego natchnieniu. — Lamennais i Montalembert w zetknięciu z nim w Rzymie zaraz poczuli pociąg do idei dotąd im obcej, a przynajmniej obojętnej — i pierwszy w dzienniku *Avenir* stał się wymownym i szczytnym jej tłumaczem; a drugi, zawsze ilekroć głos zabierał, wiernym obroń-

*) Garczyński z suchot umarł w Avignonie r. 1833 we wrześniu — Mickiewicz towarzyszył mu z Genewy aż na miejsce i tam przyjął ostatnie tchnienie młodzieńca zgasłego w 27 roku życia.

cą. W późniejszych czasach swojej profesury w *Collège de France* najpierwsi pisarze francuzcy starali się przejmować od niego tę świeżość pojęć, to bogactwo poezji jakie im sypał w języku zdradzającym cudzoziemca, obrażającym częstokroć ucho paryżanina; lecz wyborna rzecz przez się, ćmiła niedostatki powierzchownej szaty. George Sand, Balzac, Michelet, Quinet, szczególnie ci dwaj ostatni, żywili się okruchami tego homerycznego stołu, acz nieraz brali zeń to, co w nim niebyło jeszcze najprzedniejsze, a może też tylko dla tego, że co wyższe, wymagałoby w zastosowaniu ofiary. Z ust wieszczów rzadko wyszło coś takiego coby ci nieotworzyło dróg mądrości, coby nierozgrzało duszy, jeżeli była zdolną rozgrzania.

Ależ zostawiliśmy go w Rzymie, wróćmy doń. Pod wrażeniem tych miejsc, drżały w nim poetyczne struny, inaczej być niemogło; ale cóż dla niego to niebo bez chmurki, co te posągi i kolumny, co Apeniny, co te ogrody Lombardyi, jeżeliby nieznalazł nici mogącej je połączyć z jakim rodzinnym wspomnieniem?! I, znalazło się wspomnienie — w Legioniście — w tym Legioniście co go Brodziński w kilku rzewnych unieśmiertelnił zwrotekach; w tym wreszcie, co nieśmiertelniejszą piosnkę złożył śpiewaną przez wszystkich, co przetrwała już tyle poematów pisanych, i kilka pokoleń. Poemat ten zapewne niedokończony, musiał się przelać w późniejszego pana Tadeusza, osobliwie w ustępach gdzie sentymentalny Hrabia exaltuje się nad widokami Włoch, a Tadeuszek domator, staje w obronie litewskiego nieba

i drzew; lubo z drugiej strony, osoby bawiące w ten-
czas w Rzymie słyszały zeń prześliczne ustępy o Wa-
tykanie i Kolozeum. Być może, że w pośmiertnych pa-
pierzach Adama, znajdą się choć urywki Legionisty! Kto
tyle rozdał za życia, śmiałżeby nic niezachować po-
śmierci? —

We Włoszech zeszedł mu w części rok 1829 i cały
1830 r.

W miesiącu grudniu zdarzyło się, iż był pewnego
wieczora na liczném zebraniu u kardynała C. ministra
spraw zagranicznych.— Kiedy bawiono się w najlepsze,
wchodzi sekretarz i wręcza kardynałowi depeszę... mini-
ster przeczytał ją — a obecni mogli tylko dośledzić na
jego twarzy niejaki wyraz pomieszania.... Po chwili do-
piero odezwał się do gości: Czy wiecie państwo, że
w Warszawie wybuchło powstanie—?!

Wiadomość ta przejęła wszystkich; gdy zaś ochło-
nięto z pierwszego wrażenia, kobiety zaczęły nalegać
na kardynała, aby im odczytał depeszę. Była to szcze-
gółowa relacya pierwszych dwóch dni... Każdy biorąc
z tego pochop puszczał się na domysły, przewidzenia,
rachuby polityczne, co trwało dość długo. W końcu
kardynał przemówił w tych słowach: „podajcie mi bi-
blię — jest to bowiem u nas ludzi duchownych trady-
cyjnym zwyczajem, żeby w rzeczach wątpliwych radzić
się téj świętej księgi.“

Gdy mu takową podano, zwrócił się do Mickiewicza:
Wpan co jesteś wieszczem, powiedz na którym miej-
scu mam czytać?

— Na prawej stronie, wiersz trzeci — odrzekł poeta. I kardynał otworzył, a miejsce to było, kiedy Jezus pyta kalekę, leżącego przy sadzawce Betsaidy, czy chce być uzdrowion? a on na to odpowiada: *Domine—hominem non habeo.* — Właśnie te wyrazy przypadają w trzecim wierszu.

Odtąd tęskniąc do swoich, chciał Mickiewicz z Włoch wyjechać; lecz nieprzełamane trudności stały mu w drodze. Było z nim zupełnie tak, jak kiedy się komu śni, że ucieka, a czuje, że się z miejsca ruszyć nie może. W końcu dopiero tego roku mógł dojechać do swoich znajomych w okolicy Brodnicy i tam patrzeć własnymi oczyma na koniec dziewięciomiesięcznego dramatu.

Drewno nadzwyczaj wtedy ożywione, zatrzymało go na dłuższy czas. W otaczającym go wirze świeżych wspomnień i politycznych namietności, pisał przez rok 1832 poemat swój wielkiego rozmiaru: *Pan Tadeusz*, tę jedyną epopeję jaka się udała u nas, bo osnutą na żywej tradycji, bo wskroś przejętą tą cudownością, która tworzy bohaterów, która samemu poecie włożyła w dłoń różczkę czarnoksięską, cudownością — co się zwie miłością gniazdza. Słyszeliśmy nieraz bajki dzieciom opowiadane o zaklętych pałacach zamieszkałych przez ludzi i zwierzęta skamieniałe i oniemione. Poeta, potężny czarodziej wstępuje w taki zamek — a tym zamkiem cała Litewska natura, i jednym dotknięciem ożywia, przywraca mowę od pogańskiego dębu Baublisa, do najdrobniejszej główki kapusty i różowego

maczku w ogródku Zosi, od mateczników przemawiających przedpotopowemi głosy, do stawów prowadzących ze sobą rozmowę. Ze wszystkiego tam taki rzewny tak głęboki, odzywa się ton, że niepodobna niepokochać téj ziemi, co jak niepozorna kobieta, dopiero w tenczas jaśniej najwyższą krasą, kiedy usta otworzy i całą piękną duszą do ciebie zagada. Szeroko byłoby mówić o nieprzeliczonych zaletach téj szlacheckiej epopei — dość gdy powiem, że jest z wszystkich utworów najbardziej charakteryzującym nasz kraj i ludzi — płodem ze krwi, kosci i ducha. Nigdy też obcy nie potrafią go ocenić, bo żadne tłumaczenie niechwyci się tego oryginału. Niemiecki przekład usiłując być wiernym, dał raczej parodyę, niż kopię.

W r. 1833 pełnym zawieruchy politycznej usunął się Adam do Szwajcaryi i w Genewie pisał trzecią część Dziadów — przynajmniej to wiem, że owa sławna *improvizacya* Konrada urodziła się w tém mieście w hotelu *à l'Ecu de Genève*, gdzie poeta mieszkał. Było to w miesiącu maju — we wrześniu tegoż roku odprowadzał umierającego przyjaciela, Garczyńskiego, do Avignonu, któremu dla zdrowia kazali jechać lekarze do południowej Francyi. Tam też stracił go, pochował i opłakiwał długo.

Zgryziony tą śmiercią, oburzony na wiele niedorzeczności jakie się w koło niego działy, uczuł niesmak do Europy i naprawdę przemyślał już o dalekiej podróży do południowej Ameryki. Przyjaciele zapobiegając temu, ścignęli go do Paryża, a chcąc przykuć do

miejsca, podsunęli różne projekta ożenienia. Traf zdarzył, że jeden z jego dawnych znajomych przyjechał z Petersburga do Paryża. Mickiewicz zaczął go wypytywać o różne osoby, między innemi o rodzinę sławnéj fortepianistki Szymanowskiej. Od niego się tedy dowiedział, że Celinka, którą małą dziewczynką zostawił w Petersburgu, wyrosła na prześliczną pannę.

—Gotówbym się z nią ożenić gdyby tu była, rzekł poeta obojętnie, puszczając kłęb dymu...

Słowo to widać w dobrej powiedziane chwili — odniosło skutek nadspodziewany. — Ów przyjaciel powrócił do kraju — całą rzecz ukartował — i panna Celina niebawem znalazła się w Paryżu. Mickiewicz słowa nie cofnął; poślubił ją w r. 1834.

Powiadają: śmierć i żona od Boga przeznaczona — Mickiewicz mogąc tyle świetnych zrobić partyj, ożenił się z osobą, której, kiedy jeszcze była dziewczątkiem napisał był w Petersburgu w 1829 r. do albumu żartobliwy wierszyk:

Zaczyna się werbunek, widzę z dala, goni

Ogromna ciżba pieszych, ułanów, huzarów:

Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów,

Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.

Stanie się — będę wtenczas siwym bohaterem

I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,

Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku

Jam w téj armii pierwszym był grenadyerem.

I stało się tak. Pierwszy grenadyr utrzymał się przy prawie; lecz to dziwna, że i w tym drobnym wierszyku przebija się dowód jego jasnowidztwa.

Odtąd jednak jak został mężem i ojcem rodziny — lutnia jego niebrzękła ani razu, przynajmniej świat tego brzęku nie słyszał; lubo zawsze bliżsi i poufniejsi powtarzali, że pisze. Niedziwiłbym się jednak, żeby był całkiem złożył pióro. Im dalej bowiem posuwamy się w lata, tém więcej przed rzeczywistością ucieka poetyczny ideał. Któż wreszcie tak dokładnie umiał określić i rozebrać organizm poety, aby można odgadnąć ścisłą przyczynę rozwijania się jego lub śmierci? Jeden przestaje śpiewać kiedy niepatrzą nań oczy co weń tchnęły życie i radość; drugi milknie, kiedy cierniowy wieńiec zamienił się w miękki wawrzyn; zawsze jednak bądź to ból, bądź szczęście głaszczą lub rwą struny na lutni. Niezbadana to zagadka zwłaszcza u wieszczą, co nigdy ręką strun gęśli dotykać nie śmiał, jeśli nie czuł, że w jego pierś niezstąpiło boskie natchnienie.

Nieudzielając się na zewnątrz, spędził w domowej ciszy kilka lat do r. 1839, w którym akademja w Lauzannie ofiarowała mu katedrę literatury starożytniej. Przyjął ją z wdzięcznością, chociaż to nie było pole godne takiego geniuszu. Jak się wywiązał Szwajcarom z położonego w nim zaufania, powiedzą te kilka słów *Kuryera Szwajcarskiego*:

„Długo niewyjdzie nam z pamięci ta nauka tak poważna, a oraz tak zajmująca, ożywiona tak szlachetną prostotą; ta krytyka natchnienia, jasnowidząca niejako, w któ-

rój synteza poprzedzała analizę i panowała nad nią nagłym i najdelikatniejszym uczuciem piękności i sztuki, i ten kurs literatury łacińskiej, w którym spotykały się wszystkie literatury na głos profesora, które mu wszystkie były znane; tych postrzeżeń obfitych i tych nowych uwag, tryskających nagle z każdej części przedmiotu; tych lekcyj dobrego smaku, które były często lekcjami moralności; tego jędrnego i przejrzystego wyśłowienia; tego wytrawnego stylu noszącego piętno starożytne; наконец tego zdrowego rozsądku tak wzniosłego, że mógł uchodzić za najszczytniejszą wyobraźnię; i téj imaginacyi tak czystej, że się równała z najszczytniejszym rozumem.“

Mało co więcej nad rok zostawał Mickiewicz w cichej Lauzannie, gdy francuski minister oświecenia, pan Cousin, utworzywszy katedrę literatury sławiańskiej w *Collège de France*, wezwał go do zajęcia jéj w r. 1840. Pierwszy to raz ta Francya cywilizowana i cywilizująca, zwróciła baczniejsze oko pod względem kultury umysłowej na bliższe swych interesów ziemie, niż odległy Tybet, Chiny, Mongolia, których literaturę publicznie wykładano. Profesor rozpoczął pierwszą swoją prelekcję na dniu 22 grudnia 1840 roku a pełniąc ten obowiązek przez lat cztery, dał się słyszeć po raz ostatni dnia 28 maja 1844 r. Postanowieniem ministra odjęto mu tę katedrę — miejsce jego zajął małych zdolności Ciprien Robert, a on otrzymał natomiast posadę kustosza przy bibliotece arsenalskiej.

Peryod jego prelekcji w *Collège de France*, można by podzielić na dwie części. Przez pierwsze dwa lata rozwijał z nieporównanym talentem wszystko to, co bystry wzrok jego ogarniał na polu utworów literatury Słowian; wnikał w ich ducha, porównywał między sobą i odnosił do starszej cywilizacji na zachodzie. Były to rzeczy całkiem z nową ukazane strony, drgające świeżym życiem. Profesor nieprzystając być po to umiał wszystko ożywić, a tem samem wzbudzić interes Francji, przekonanej, że po za jej granicami, świat niedaleko się kończy.

Najbardziej zaś to uderzało w jego poglądach, że natrafiał na takie miejsca w kronikach lub pieśniach, co podniesione przez niego, wylatywały w górę jak race i rozswiecały cały horyzont zamierzchłych wieków — w bliższych zaś, zawsze palcem namacał najsilniej bijące tętno. Zgoła wcielał zamarłe słowo.

W następnych dwóch latach wykład się zmienił: literatura była tylko rzeczą podrzędną, a idea profesora nieobjęta w programacie, prawie wszystkim.

Z kądżeż ta zmiana?

W r. 1841 Ludwik Filip sprowadził zwłoki Napoleona z wyspy ś. Heleny. Na ten wielki ceremonial garnęli się ludzie do Paryża z różnych stron ziemi. Owóz i szlachcie jeden z Litwy, wsiadłszy na wózek zaprzężony jednym żmudzkim konikiem, przybył nad Ren — konika i wózek sprzedał — a sam zapisawszy się na dyliżans ruszył na obchód pogrzebny... Tym szlachcicem był Towiański, grający tak przeważną rolę w ży-

ciu poety. Zdarzyło się, iż pod ten czas Mickiewiczowi nagle zachorowała żona; nieszczęśliwy mąż musiał ją oddać do domu obłąkanych. W tém, jawi się Towiański i uzdrawia ją cudownym sposobem, nieledwo potęgą słowa....

Przed laty poeta nasz w chwili extazy napisał był te prorocze wiersze, które mu w pamięć przyszły, za pierwszym ujrzeniem Towiańskiego, a które poznawszy go bliżej, całkiem doń zastosował.

Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będiesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imie Boże,
Słuchaj co powie....

Tak tedy znalazł się ten mistrz, którego miał słuchać.. od niego też brał natchnienie do późniejszych messyanicznych wykładów, do niego wreszcie zastosował ostatnią prelekcyę pokazując w nim człowieka przeznaczeń.

„Który na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła —“

Nie wszystkim zdał się potrzebny ten drugi kościół kiedy już był jeden zbudowany na Piotrowej opoce, nasz powszechny i niepodzielny kościół, pod którego skrzydłami tworzy się jedynie możebne braterstwo i jedność kato-

lickich ludów.— Później i sam Mickiewicz przeszedłszy różne koleje i próby, które się wcale niepowiodły, usunął się nareszcie od tego koła wirującego w powietrzu. Miłość własna niepozwalala może przyznać się do błędu, choć sumienie wskazywało go palcem. Wiele da się tu złożyć na karb wyjątkowego położenia— lecz i to pewna, że nawet w takim upadku, gdyby się dotknął był jak Anteusz swęj matki ziemi, byłby powstał silniejszy i wiarą i prawdą. Kto pod nogami niema punktu oparcia, zawsze uwięźnie między niebem a ziemią.

Bvły to zboczenia i błędy, nie człowieka zwyczajnego, na które jest miara w uznanych regułach religijnych, moralnych i politycznych, ale błędy geniuszu niedające się jak tarcza księżyca, lub Saturna, zmierzyć tym lokciem, którym się towar mierzy.

Na nieszczęście z zacieklą gorliwością, lub w duchu partyi, rzucono się na wieszczą i wleczono go jak obdar-te ciało Hektora za wozem — z tą odmianą, że niestał w nim żaden Achilles lecz powoziły proste tylko Auto-medony.

Kościół ma tyle siły organicznej, że dziś niepotrzebuje uciekać się do stosów i mieczy; prawda jego ogrzana miłością dostateczną jest na przeciwników i odstępców. Gdyby postępował inaczéj jątrzyłby tylko, a nieprzekonywał i zwyciężał.

Nie przeczę, nadmiar exaltacyi wieszczą i jego zwolenników rozsadzający wiele form bezdusznych, naruszał i takie których tknąć niewolno bezkarnie — lecz za to ileż znowu gorącym duchem napełnił? Jak przed dwu-

dziesiąt laty poezją swoją zbudził spiące uczucia, tak później poglądami na dzieje ludzkości — zbudził ducha. Zawsze, jak mówiłem — *najsocyalniejszy* geniusz tego wieku.

Wieniec cierniowy pokryty liściem wawrzynu opasywał go w całej pielgrzymce.

Demagogia chciała go zrównać ze sobą i rzuciła się na jego poezye, wytrząsając z nich arystokratyzm, jezuityzm, naśladownictwo Göthych i Byronów — cierpieć jedną wielkość w narodzie, było dla niej z ujmą równości! obrońcy znowu religii — wyrzucali go z Kościoła...

Non ragioniam di lor, ma guarda, e passa.

Wiele ma on podobieństwa z Dantem, ktorego dziś pomawiają niektórzy o herezyę w tém uprzedzeniu, że są lepszymi jeszcze katolikami niż sami ówczesni doktorowie kościoła komentujący publicznie i zalecający tę epopeję średnich wieków. Wiele podobieństwa i w kolejach życia; a lubo Maryla niewyrównała Beatryczy Portinari, i nieniosła mu szczytnych nauk i pociech, niemniej cierpiał on prześladowanie, jak wieszcz boskiej komedyi śpiewający o sobie:

Tu proverai sì come sa di sale

Lo pane altrui, e com'è duro calle

Lo scendere e'l salir per l'altrui scale.

Uspokój się cieniu! potomność pomści cię jak tamtego, bo chociażś doznawał prześladowań — rzesze

cisnąć się będą do ciebie i czołgać byś ich nakarmił i rozgrzał słowem twych pieśni...

Czyż na ogromnej karcie naszej literatury nie stoisz jako wyobraziciel drugiej epoki — twarzą w twarz z Janem Kochanowskim, reprezentującym tę epokę, co się u stóp twoich skończyła?... Szczególna myśl uderza w tém postawieniu tych dwóch postaci: literatura cała pod laską pierwszego rozplywa się w jakicheś niepewnych rysach, lice jej blade jak cień życia — bo też życie było gdzie indziej w takiej pełni i czerstwości, że poezya pisana — to cień... Pod berłem Śpiewaka Działów, zmieniają się role: rzeczywiste życie — to cień; a poezya — to życie, wyraziste, i pełne krasy...

Prawa jeniushu niedadzą się zanegować. A któż nieprzyzna jeniushu naszemu wieszczowi? Czyż niewycisnął on swojego piętna na wszystkiém czego dotknął, czyż nie zlał w jedno, co było rozpięchłe? Czy nie brał natchnienia z pierwszego źródeł — z nieba? — Śmieszném byłoby twierdzić, aby jeniush miał posłannictwo tworzyć z niczego, lub nowe idee w świat wprowadzać. Przeciwnie; on pojęcia mgliste, zawichrzone, niezastósowane, źle wyrażone, łowi że tak powiem w przelocie, zatrzymuje, wiąże w ład, i zmusza objawić się w swem dziele. Największa oryginalność będzie podobnoś w téj potędze wielkiego ducha, co umie ovladnąć własne pomysły, i otrzymać z nich co zechce... tak, że jedyna tajemnica jeniushu podobnie jak cnoty byłaby w panowaniu nad sobą. Bóg władzę tworzenia zachował dla siebie; wielkim zaś ludziom prze-

kazał drugi ten stopień swojej potęgi: jedność wprowadzać w liczbę, harmonię w zamęt.

Lecz dość tego — jam tylko miał skreślić w krótkości żywot poety zebrany z niektórych dat przy jego poezyach, z niektórych znajomszych o nim opowiadań — a tymczasem puszczam się na sądy o pismach i o człowieku, wtedy, kiedy jeszcze tak świeży żal po nim, a tyle prawdy rozpierzchlej lub w cieniu ukrytj...

Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wichur zmiesza, kiedy piorun pali,
Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody?
Nim mię osądzisz czekaj słońca i pogody.

Zapewne tylko w słońcu i pogodzie postać wieszczka może się wydać w całym majestacie rozmiarów, rysunku i delikatności rzeźby,—podobnie, jak tylko pod włoskiem lub greckiem niebem możesz podziwiać marmurowe posągi i świątynie.

Nim to nastąpi, dokończmyż ostatniego najsmutniejszego aktu tego dramatu życia...

Na wiosnę podobnoś w marcu tego roku odumarła go żona, zostawując sześcioro sierot. Co drobniejsze znalazły opiekę i macierzyńskie serce kilku kobiet, szczęśliwych, gdy mogły tą przysługą ubiedz hołd od wszystkich należny poecie.

W czerwcu wyjechał Mickiewicz w misyi naukowej do Stambułu. Miał on z polecenia rządu francuzkiego zbadać kraje słowiańskie pod panowaniem Turcyi zostające. Osobliwe przeznaczenie!

Z taką bowiem samą misją przed 26 laty wyprawał go Cesarz rosyjski i tylko dla tego puścił za granicę, że się wiele po nim spodziewał. Następne wypadki inną wskazały poecie drogę... a lubo po krainach umysłowości słowiańskiej odprawił innego rodzaju podróż w *Collège de france*, wszelako właściwej podróży śmierć niedozwoliła mu dokonać.

Umarł na przedmieściu stambulskim Galata d. 28 listopada.... Zamknął mu oczy nieodstępny przyjaciel i wielki ulubieniec Adama, Henryk Służalski.

Dla uspokojenia tych, co powątpiewali o religijnych uczuciach Poety, co go mienili być odstępcą od Kościoła, przytaczam w oryginale i przekładzie list umieszczony w dzienniku katolickim *L'Univers* z d. 13 grudnia, a pisany z Pera, który brzmi jak następuje:

„Adam Mickiewicz le célèbre poète polonais, sentant qu'il était atteint mortellement, fit appeler un prêtre polonais qui lui donna les Sacrements et toutes les consolations que l'on trouve dans la religion Chretienne. Sa mort a été celle d'un chretien fervent.“

Adam Mickiewicz sławny poeta polski, czując zbliżający się kres życia, kazał przyzwać polskiego kapłana, który mu udzielił ss. Sakramentów i wszelkich pociech, jakie tylko religia chrześcijańska dać jest w stanie. Umierał jak najgorliwszy chrześcianin.“

Niema go! a my zawołajmy słowami Danta:

Onorate l'altissimo poeta!



